

Czy w Europie są jakieś góry?

Ech, Hasior, ty nigdy nie zmądrzejesz - pomyślałem, gdy zostałem sam na drodze szybkiego ruchu czy autostradzie na teoretycznie nieistniejącej granicy polsko-litewskiej. Trzydzieści trzy lata życia, w tym pięć kapłaństwa, a ty dalej stopem jeździsz... Teraz częściej korzystam z transportu publicznego. Jeszcze stać mnie na bilety, a podczas podróży mogę modlić się, spać, czytać, ostatnio nawet pisać. Jednak nie zawsze oferta instytucjonalnych przewoźników mi pasuje. Wtedy idę na stopa. Albo zostaję w domu.

Pod koniec lipca 2011 roku, jechałem stopem do na wpół baśniowej krainy dzieciństwa mojego Pradziadka, zwanego Dadą, krainy znanej tylko z dawnych opowieści babci Joanny z Narkiewiczów Hasiorowej, zwanej Babulką. Babulka niechętnie opowiadała o przeszłości. Ludzie na poziomie nie rozmawiają o tym co, kto, kiedy, z kim i dlaczego – powtarzała nieraz maksymę swojej Mamy, a mojej Prababci, Łucji z Żandrów Narkiewiczowej. Ludzie na poziomie rozmawiają o zagadnieniach, o problemach, o ideach. Idea Antonowa powracała często dzięki srebrnym sztuccom, a właściwie ciężkim łyżkom ze stylizowanym monogramem *JS* na piórze. JS. Julia Szabuniewicz, mama Dady, mówił Tata krótko i zwięźle. Idea pozostawała ideą.

Szabuniewiczze mieszkali w majątku Antonów na Litwie Kowieńskiej – mawiała Babulka. Był to tak wielki i tak bogaty majątek, że założono w nim pierwszą na Litwie elektryfikację. Sam prezydent Smetona przyjeżdżał, żeby ją oglądać. Wszystko tam było. I tam mieszkała Julia Szabuniewiczówna, mojego Tatusia mama. A Tatusia tata był zarządcą. Zakochali się w sobie, pobrali się i mieli dwóch synów, Stefana i Wiktora. Stefan po rodzicach dostał ziemię, a Wiktor pieniądze na studia. Pojechał do Belgii, do Gandawy, na politechnikę i został inżynierem lotniczym... To zupełnie inna historia. Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w Antonowie mienił się być Wuj Piotr Narkiewicz, młodszy brat Babulki. Został kompletną ruinę.

- Czego pan tu szuka? – zapytał ktoś Wuję koło resztek dworskiej kaplicy

- Tu leżą moi przodkowie...

- I co? Zabierasz pan ich?

Taka opowieść kołatała mi się po głowie. Do tego dochodziła świadomość, że Wuj i Babulka już nic więcej nie powiedzą. W ciągu ostatnich dwóch lat pochowałem ich oboje na Wólce Węglowej w grobie ze wspomnianymi już Dadą i Prababcią – Wiktorem i Łucją Narkiewiczami. Za wcześniej.

Kilka chwil w internecie pozwoliło mi znaleźć Antonów – dziś *Antanavas* – na mapie Litwy. Były nawet jakieś zdjęcia kaplicy. Około stu kilometrów od Suwałk. Dojechać nie problem. Ale po jakiemu tam rozmawiać? Z kim? O czym? Polaków podobno nie lubią. No ale ludzie przecież mieszkają. Śpią, jedzą. I w Boga chyba wierzą, niektórzy przynajmniej. Ufać Bogu i jechać trzeba. Jakoś to będzie. Pojeżdż – zobacz – porozmawiaj. Zostaw kontakt. Taką metodą, od jakichś dwunastu lat prowadzę badania genealogiczne rodziny Hasiorów, które pieszczotliwie nazywam hasiorologicznymi. Mało grzebię w dokumentach. Mam ich trochę skopiowanych, część opracowałem. W okolicach Nowego Sącza znalazłem wielu krewnych. Dużo się dowiedziałem, zanim kilkoro z nich nie poumieralo. Uzbrojony w to doświadczenie i w zaufanie do Boga, który nie chce przecież śmierci grzesznika, postanowiłem udać się tym razem na północ od Warszawy. Świat się szybko zmienia, chciałbym zdążyć jak najwięcej zobaczyć. Od początku seminarium jestem związany ze wspaniałymi obozami rekolekcyjnymi w Mikaszówce nad jeziorem Płaskim, w Puszczy Augustowskiej, które organizuje ksiądz Mirosław Nowosielski. Po krótkim pobycie we wspomnianej Mikaszówce, pojedę stopem na Litwę, poprowadzę tam badania szabuniewiczologiczne, a następnie przejadę autokarem z Mariampola do Krakowa, gdzie spotkam się z harcerkami katolickimi z mojej parafii. Miałem zgodę biskupa na wyjazd zagraniczny i bilet na wspomniany autokar, z datą i godziną. Wymieniłem nawet parę złotych na lity. Zaplanowałem dość dużo.

Stałem w lipcowym słońcu, na poboczu, na teoretycznie nieistniejącej granicy, ale nie sam. Potężny litewski policjant z siwiejącymi wąsami, życzliwie i uważnie obejrzał mnie od stóp do głów. Sutanna i plecak nie zrobiły nad nim większego wrażenia. Człowiek to człowiek. Stoi to stoi. Po co stoi? Chce jechać. To niech jedzie. Lizakiem zatrzymał nadjeżdżający samochód i wydał kierowcy polecenie zabrania mnie. Wszystko odbyło się tak szybko i

naturalnie, że nawet nie zdążyłem się zdziwić. I nie pamiętam, w jakim języku z tym policjantem rozmawiałem. Z kierowcą rozmawiałem po rosyjsku. Miał na imię Iwan czy Aivars. Był Łotyszem, marynarzem. Ściągnięty z urlopu nad Morzem Czarnym gnał do Rygi, aby wyruszyć w rejs. Bardzo mnie prosił, żebym pozwolił wysadzić się przy skrócie z głównej drogi, a nie zawozić na miejsce przeznaczenia. Ku jego wielkiej radości, zgodziłem się. Plecak na plecy, różaniec w dłoń, i drogo prowadź! Daleko nie poprowadziła.

Grupa młodych ludzi w brudnobiałym samochodzie trzymającym się na słowo honoru, podwoziła mnie do Antonowa. Rozmawialiśmy po rosyjsku. Nie wiedzieli nic o Szabuniewiczach, lecz znali antonowskie piwo. Produkowano je całkiem niedawno, było bardzo dobre. Z głównej drogi skręcili w lewo, pod *spirit-zawod*, czyli fabrykę spirytusu, nieczynną. Zostawili mnie przed starym, zniszczonym i brzydkim budynkiem. Później zauważyłem, że jest piętrowy i prostokątny. Nad wejściem napis z cegieł, podaje chyba rok budowy: 1830. Brudnobiały samochód z młodymi Litwinami odjechał. Zostałem sam, w sutannie, z plecakiem na ziemi i różańcem w rękę.

Przez liście starych drzew przeświecało lipcowe słońce. Nie minęły nawet dwie godziny od opuszczenia Suwałk. Tę część swojego kraju Litwini nazywają *Suwalkija*. Kilka, może kilkanaście osób o przynajmniej pokolenie starszych ode mnie, przyglądało mi się z życzliwym zaciekawieniem. Uśmiechnąłem się z wrodzoną nieśmiałością i wypowiedziałem jedyną frazę po litewsku, jaką wtedy znałem.

- Laba diena.

- Laba diena – odpowiedziała większość albo i wszyscy, kiwnęły głowy, pojawiły się uśmiechy. „Dzień dobry” już za nami.

- Lenkija? – ktoś zapytał

Chyba pyta, czy z Polski. Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli.

- Lenkija. – odpowiedziałem

Nastrój się nie zmienił. Zapytałem o Szabuniewiczów, nie pamiętam, w jakim języku. Tak, znają, wiedzą. To ich miejsce. Szersze uśmiechy. Mi się jakoś cieplej zrobiło na sercu i mokrzej w oczach. Mając za plecami piętrowy budynek po przejściach z napisem „1830” i po lewej ręce ogromny, nieczynny *spirit-zawod*, patrzyłem na życzliwych mi antonowian. Wskazano mi, znajdującą się po prawej ręce, więc bliżej drogi – choć z drogi niewidoczną - kaplicę. Serce zabiło mi jeszcze mocniej. Wziąłem plecak i podszedłem. Antonowianie zostawili mnie samego. Wszedłem po schodkach, dotknąłem żelaznej klamki. Zamknięte. Obszedłem budynek dookoła. Świeże deski, świeży gont, świeża kostka naokoło. Choć niektóre deski ciemniejsze, starsze. Cisza wokół.

Chwile mijały. Co dalej? Jak wejść do środka? Gdzie są groby przodków? I konkretnie kogo? W jakim stanie? Co robić dalej? Trzeba by się gdzieś zatrzymać. Mam pieniądze, mogę zapłacić. Tylko z kim rozmawiać? I po jakimu? Szkoda, że Babulka nie dożyła tej chwili.

- Dzjen dobry – usłyszałem za plecami.

Krępy, serdeczny mężczyzna z wysokim czołem, po czterdziestce, w koszuli w niebieską kratę, z uśmiechem wyciągał do mnie szeroką dłoń. W drugiej trzymał wielki żeliwny klucz. Romas Liutkus, dyrektor mieszczącej się w pałacu placówki kulturalno-oświatowej. Mój późniejszy przewodnik i oprowadzacz, bardzo porządny człowiek. Po chwili byliśmy już wewnątrz kaplicy, nietypowo zbudowanej na planie ośmiokąta i zwieńczonej cerkwiopodobą wieżyczką z wyraźnym łańskim krzyżem. Ściany pomalowane w pionowe pasy w różnych odcieniach błękitu, ciemnobłękitne tabernakulum - nie pamiętam czy z Najświętszym Sakramentem – na białej nastawie ołtarzowej, nad nim obraz Madonny z Dzieciątkiem. Ich wzrok każe mi się zatrzymać.

Na tle szaroburych chmur, jakby zwiastujących mroczną przyszłość pełni XX wieku, Oboje patrzą przed siebie nie spuszczać wzroku. Szczególnie wymowne i wiernie oddane są Ich źrenice. U Maryi, jako matki, po ludzku starszej i bardziej świadomej, daje się odczuć większy smutek i żal, a także zgoda na przyjęcie mających nadejść wydarzeń. Jezus, choć Dzieciątko, jako Bóg wie i rozumie o wiele więcej. Jego Twarz jest nad wiek poważna. *O mój Synu, wola Twoja, nie moja się dzieje...* zdają się dźwięczeć tony kolędy. Ogarnia mnie dziwne uczucie, jakby świadomość strasznej przeszłości i nadzieja wspaniałej przyszłości. Przeszłości realnej, z czasów hitlerowskich i radzieckich, ale czyż czasy carskie tak bardzo się od nich różniły? Teraźniejszość, jaka jest – każdy widzi i każdy jej

doświadcza. Najrealniejsze będzie To, co nadejdzie. Gdy krowa i niedźwiedzica legną pospołu, gdy ucałują się sprawiedliwość i pokój. Tymczasem nawet się sobie nie kłaniają.

Obraz nieznanego malarza umieścili w kaplicy Szabuniewiczze w XIX wieku. Przetrwiał obie wojny i początek komuny, kiedy w latach 60., wraz z innymi sprzętami, wywieziono go do sowieckiego Muzeum Ateizmu w Wilnie. Odnaleziony w pomuzealnych archiwach, odnowiony na koszt Ministerstwa Kultury i Sztuki niepodległej Litwy, wrócił do kaplicy odnowionej staraniem antonowskiej społeczności. Poświęcony przez biskupa z Mariampola, jak dawniej pomaga ludziom w modlitwie. I wciąż patrzy odważnie w przyszłość, niezależnie od ciemnych chmur za plecami. Charaszo – rozmawiamy po rosyjsku – ale gdzie moi przodkowie?

Wychodzimy na zewnątrz, schodzimy do trójkomorowej piwnicy. Czysto, schludnie, ascetycznie. Towarzyszy nam Vytautas, nastoletni syn Romasa i dwoje sympatycznych przedstawicieli społeczności lokalnej. Pokazują mi wysoki na półtora metra i szeroki na cztery sarkofag, meniskowatym wybrzuszeniem w poprzek, z czegoś co wygląda jak otynkowana cegła. Żadnego znaku, napisu. Tu leży Stanisław Szabuniewicz zwany Szabanem, zmarły około roku 1860 nabywca Antonowa, i jego wnuk – bezdzietny sukcesor, Edward Szabuniewicz z żoną Marią z Landsbergów. Wnuczką Stanisława była też Julia z Szabuniewiczów Narkiewiczowa, ta od sztuców, moja praprababcia. Stanisław Szabuniewicz to mój prapraprapradziadek. Kiedyś tu było inaczej, mówi Romas. Ciała leżały niemal na wierzchu. Od wojny każdy robił co chciał. Niemcy, Rosjanie, lokalni pijacy... pan Szabuniewicz pochowany był w najlepszym garniturze, ze szwajcarskim zegarkiem na łańcuszku. Tego już nie ma... modlimy się w ciszy. Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen.

Romas z miejsca oferuje mi usługi przewodnickie. Wszystko tu wie, wszystkich zna. Rozumie polski, mówi po rosyjsku. Nie chcę robić kłopotu, lecz taka okazja może się nie powtórzyć. Zgadzam się. Samochodem Romasa jedziemy do pobliskich Pilwiszek, gdzie już czeka na nas proboszcz parafii tutejszej, kunigas Algirdas czyli po naszymu ksiądz Olgierd. Po polsku mówi bardzo dobrze, z mickiewiczowskim akcentem. Tak mistrz Adam mówił zapewne „Litwo, ojczyzna moja...”. Taki to był kiedyś świat, że Białorusin pisał po polsku „Litwo, ojczyzna moja!” i wszyscy się jakoś mieścili. Poczęstowano mnie obiadem. Chciałbym tu gdzieś zatrzymać się na noc, czy możecie mi jakoś pomóc, pytam. Oczywiście, nie ma problemu, co jeszcze możemy zrobić? Chciałbym jutro odprawić Mszę świętą w tej kaplicy, na grobach moich krewnych. Nie ma problemu, tam wszystko jest, Romas chętnie pomoże. I proszę się pojawiać, zawsze jak ksiądz przyjedzie. Wracamy do Antonowa, zaprasza seniunas Arūnas.

Seniunija to dosłownie coś jakby starostwo, lecz Arūnas Aleksa, główny przedstawiciel administracji państwowej mówi o sobie „jestem wójt”. Dziarski, czerstwy, po pięćdziesiątce, z króciutką siwą brodą i małym kolczykiem w uchu, przyjmuje Romasa i mnie u siebie w domu. Po polsku potrafi powiedzieć jeszcze standardowe „dzien dobry”, z „y” przechodzącym w „i”. Dalej rozmawiamy po rosyjsku. Herbata, kanapeczki z gęstego, litewskiego chleba. Pojawia się młoda żona Milda, inni jacyś ludzie. Po maluchu, za družbu. Dobrze wspominają państwa Szabuniewiczów, choć znają ich tylko z opowieści. Żyje jeszcze niejaka pani Urszula, która przed wojną pracowała u nich w ogrodzie, jutro ją poznam. Właściwie pracowała przed rokiem 1935, kiedy ostatni Szabuniewiczze sprzedali dwór z fabryką i wyjechali. Mieli szczęście, myślę sobie. Walec historii zmiażdżył już ich następców. A ja i moja rodzina w Polsce nie mamy żadnych podstaw, żeby chcieć czegokolwiek. Jestem bezpieczny. Chcę poznać, porozmawiać, pomodlić się. I to mi z przyjemnością umożliwiają. Załatwili nocleg w jakimś domku pod lasem. Chciałbym przedtem jeszcze trochę pobyc przy dworze i przy kaplicy. Nie ma problemu, Arūnas przejmuje przewodnictwo, zawozi mnie i zostawia na dwie godziny, bym pochodził po śladach moich przodków.

To tu Dada, niejako zastępujący ojca mojemu Tacie, Wiktor Narkiewicz, którego pamiętam jako dziarskiego pradziadka, przyjeżdżał do dziadków na wakacje. Stąd pochodzi zdjęcie krzepkiego młodzieńca w białej koszuli i spodniach w kancik, leżącego na kopie zżętego siana. To tu powstały – przynajmniej co do idei, przez jakiś czas leżały, czekając na ślub, a może i były w użyciu, srebrne sztucce z monogramem *JS*. To tu prezydent Litwy Antanas Smetona podziwiał elektryczność. Tu żołnierze niemieccy – a może radzieccy – a może inne łobuzy od historii - bezczęścili zwłoki mojego prapraprapradziadka. A Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała

je w swoim sercu... Obszedłem kaplicę wokół. Obszedłem dwór. Na parterze coś pomiędzy domem kultury a klubem dziecięco-młodzieżowym i ośrodek zdrowia, na piętrze lokatorzy. Stan techniczny, mówiąc delikatnie, zły. Sowietci rozbudowali piętro, więc budynek przestał być zabytkiem, dlatego w niepodległej Litwie nie udało się jeszcze zdobyć pieniędzy na remont. Poza tym jak remontować? Przez ponad wiek dworek stał parterowy, ze spadzistym pięterkiem i przybudówką. Teraz po przybudówce ślad tylko pozostał na ścianie, a w rozbudowanym piętrze mieszkają lokatorzy. I nawet mówią mi „laba diena”, choć nie są zbyt rozmowni. Włącza mi się stereotyp kwaterunkowych mieszkańców w szlacheckich siedzibach w Polsce, cała nieprzyjemna sprawa własnościowa... ale przecież ja gromadzę sobie skarby w niebie, a moi przodkowie sprzedali wszystko i wyjechali w roku 1935. Obszedłem dookoła *spirit-zawod*. Nazwa wprowadzona przez wspólnego okupanta Litwy i Polski najbardziej pasuje mi do opisu tego kompleksu budynków. Język rosyjski, podobnie jak angielski, nie jest już własnością tylko Rosjan. Ani tym bardziej lokatorów Kremla.

Wzdłuż muru *spirit-zawodu* dotarłem do leniwie meandrującej rzeki Szeszupy. Potem Tata powie, że pamięta tę nazwę z dzieciństwa. Nieraz padała w opowieściach Dady. Zapewne co roku wiosną rozlewa się na pobliską łąkę, po której przechadzali się nieraz Eugeniusz Narkiewicz z... Marią Szabuniewiczówną. Tak, ukochaną mojego prapradziadka była pierworodna córka Jaśnie Pana Szabuniewicza, rodzona siostra mojej praprababci. Urodziła mu córkę, również Marię, i zmarła w Suwałkach. Jej nagrobek z roku 1899 do dziś stoi na suwalskim cmentarzu parafii św. Aleksandra, jego odnalezienie zasługuje na oddzielną historię. Ciocia – a może i chrzestna - Julia przyjechała zająć się osieroconą siostrzenicą, lecz, jak się okazało, zajęła się również i szwagrem...

Szeszupa dawała również życie meandrującym za dworem kanałom, po których jaśnie państwo raczyli pływać łódką. Dwór i kaplica stoją wyżej niż okolica, piwnicę z grobami przodków moich specjalnie osuszano, a i teraz jakieś odwadnianie tam się wykonuje. Sam pamiętam tę rzekę jako rzeczkę malutką, z samotnej wyprawy z plecakiem na polską Suwalszczyznę właśnie, gdzie wiję się jako mały ciek, dający się od niechcenia przekroczyć. Tu swobodnie wyminą się dwa kajaki, a skarpa wygląda na zachęcającą do letnich skoków. Sam *spirit-zawod* niczym nie różni się, niestety, od setek podobnych mu zakładów przemysłowych w Polsce, pożartych przez dziki kapitalizm.

Przed siąpiącym deszczem schroniłem się na klatce schodowej pałacu. Wózki dziecięce są na pewno nowe. A schody? Radzieckie? Niemieckie? Szabuniewiczowskie? Przez chwilę dotrzymywały mi towarzystwa dwie litewskie nastolatki, chichoczące i świecące sobie w twarz telefonami. Burknęły „laba diena”, poszwargotały coś ze sobą po litewsku i wyszły na dżdż. Skończyłem dziesiątkę różańca, gdy zajechał seniunas Arūnas, by zawieźć mnie na nocleg. Długo jechaliśmy na północ, z przystankiem u bardzo miłej i ubogiej staruszki, chyba jego teściowej, która po słowiańsku umiała tylko powiedzieć „staraja baba”. Następnie przybyliśmy do starego domu pod lasem, z czynnym kuchennym piecem i skrzypiącą podłogą, gdzie udostępniono mi cały pokój z wielkim łóżkiem i ciężką, świeżą pościelą. Śpiwór zachowałem więc na później. Gospodyni, młoda kobieta z dzieckiem, starała się nie narzucać.

Nie pamiętam, czy brewiarz odmówił przy kaplicy czy w udostępnionym mi pokoju. Wieczorem odbyło się miłe spotkanie, w którym uczestniczyło parę znacznych osobistości, w tym Romas i Arūnas. Były kanapki z litewskiego chleba – czarnego, gęstego, z kminkiem... pycha! Podano jakiś mocno zaawansowany napój lokalny, bezbarwny i bezwonny, nalewany z wielkiej mętnoprzeźroczystej butli, w której pływał wielki korzeń chyba dębu. Devaitis. Za druźbu, wypilem dwie porcje i grzecznie podziękowałem za dokładki. W myśli zdziwiłem się, że nie rozpuściło szklanki, z której piłem. *ANTANAVAS. Tarp Šešupės ir Pilvės* – taki tytuł nosiła książeczka, wydana staraniem i sumptem społeczności lokalnej. Szabuniewiczze, ich dwór i kaplica odegrali dużą rolę w dziejach Antonowa, choć między Szeszupą i Pilwą – jej dopływem, stąd Pilwiszki - gospodarzyli tylko w latach 1830-1935. Kaplica jest dziś w oficjalnym herbie *seniuniji*. Litwini wpisują dedykacje po litewsku, podpisują się na każdym z egzemplarzy, przeznaczonym dla członków żyjącej i znanej mi rodziny. Proszą mnie o wpisy po polsku na ich własnych egzemplarzach. Niniejsze opracowanie, choć nie tak profesjonalne jak ich, ma w moim mniemaniu być próbą rewanżu. Lepiej późno niż wcale.

W nocy umyłem się pod regulowanym ręcznie strumieniem nagrzonej przez słońce deszczówki z wielkiego baniaka, w scenerii przebogatej litewskiej flory a także, reprezentowanej głównie przez bezkręgowce, fauny. Seniunas Arūnas przyjechał rankiem i zabrał mnie do budynku *seniuniji*. Na tle skromnej, pokółchozowej szarości nie dało się nie zauważyć kolorowych plakatów Unii Europejskiej. Było znów trochę miłego państwa, na czele z sędziwą panią Urszulą, która przed osiemdziesięciu laty w ogrodzie przodków moich grządki pełta. Przetrwiała Hitlera i Stalina, a w wolnej Litwie jakiś dziennikarz wyłudził od niej wszystkie pamiątkowe zdjęcia i więcej się nie pokazał. Po polsku wcale nie mówi – jaśnie państwo Szabuniewiczze płynnie mówili po litewsku, jeśli była taka potrzeba – a po rosyjsku słabo, więc za tłumacza robi niezawodny Romas. Nowe osoby oglądają moje zdjęcia, niektóre z nich kopiuje. Pokazują mi swoje zdjęcia i dokumenty, które ja też kopiuję na ile możliwości techniczne pozwalają. Częstośćuję mnie znów kanapkami z wyśmienitego czarnogęstego chleba z kminkiem. Wymieniamy kontakty. Vytautas vel Vycka, wspomniany już syn Romasa, znajduje mnie na facebooku i zaprasza do znajomych. Przy okazji namierzamy innego Konrada Hasióra, nastoletniego piłkarza z Jastrzębia. I jedziemy do kaplicy, przed którą czeka już gromadka pań średnim wieku. Laba diena, laba diena, uśmiechamy się.

To nie kłopot, to zaszczyt – powiedział jeden z moich byłych proboszczów, gdy próbowałem się ekskuzować za to, że zamiast mnie wystawił do adoracji Najświętszy Sakrament. To cudowne i wspaniałe, że Bóg, Stwórca świata, zstępuje z nieba przez moje ręce na cieniutki opłatek. Każda Eucharystia jest cudem. Nie da się o tym zapomnieć. Jednak sprawowanie Mszy świętej w różnych miejscach, ma swój jakiś głębszy sens. Kaplica Jasnogórska, krypta świętego Leonarda i konfesja świętego Stanisława w katedrze wawelskiej, stary ołtarz z kościółka w Ars, bazylika świętego Piotra w Rzymie, kaplica krzyżowców w katolickiej części jerozolimskiej bazyliki Grobu Bożego – to tylko niektóre *loca sancta* w których było mi dane sprawować Najświętszą Ofiarę. Sprawowanie Mszy świętej nad grobem własnego prapraprapradziadka, ciotecznego prapradziadka i jego żony, w miejscu tak przesiąkniętym historią tak mi bliską, pod niesamowitym obrazem Tej, Która Rozważała Wszystkie Te Sprawy w Swoim Sercu, było dla mnie przeżyciem niezapomnianym. Ale nie o moje przeżycie tu chodzi, lecz o jakąś dziejową sprawiedliwość czy coś w tym rodzaju, czego ani nazwać, ani opisać nie potrafię.

Oto w domu Bożym, który służył za skład broni powstańców styczniowych, w którym świętej już pamięci zacne ciocie Charmańskie biegały między szacownymi trumnami, który szerokim łukiem omijał podczas wakacyjnych wojaży, osiadły ostatecznie w Brazylii warszawski architekt-powstaniec Mirosław Szabuniewicz, w domu Bożym – wraz z pochowanymi tu krewnymi moimi - bezczeszczone przez faszystów, sowietów i lokalnych pijaków, w domu Bożym odnowionym wspólnym wysiłkiem całej tutejszej społeczności, przy aprobacie – a może i pomocy - władz cywilnych i Kościoła, ja, potomek tych, którzy to zaczęli i syn Kościoła, robię to, co powinienem robić. Robię to, co było tu od dawna robione i co długo jeszcze robione będzie, mimo wszystko. *Hoc facite in meam commemorationem*.

Wznoszę kielich zbawienia przed niedające się opisać oblicze Antonowskiej Madonny i Jej Dzieciątka. Mszę odprawiam przy nastawie ołtarzowej, wraz z ludem zwrócony w stronę krzyża. W litewskim mszale znalazłem łaćniński formularz. Romas mówił, że mogę wziąć formularz polski, lecz nie pomyślałem o zabranii mszalika ani chociaż „Oremusa”. Czytanie i psalm wykonali Litwini, Ewangelię po litewsku przeczytałem sam, przeszkolony szybko przez Vytautasa, który z resztą do Mszy służył. Jest tu regularnym ministrantem. Homilię powiedziałem po polsku, Romas tłumaczył. Wiele osób przyjęło Komunię Świętą. Chwała Panu! Wiem, po co tam byłem.

Po krótkiej rozmowie z paniami po Mszy i wyściskaniu przez Urszulę, seniunas Arūnas, Romas i Vytautas zabrali mnie na przejażdżkę po okolicy. Pokazali krzyż, upamiętniający potyczkę z Powstania Styczniowego, okoliczne cmentarze, w Pilwiskach stację kolejową i małą elektrownię wodną na Szeszupie. Zaprosili na dobry obiad w tamtejszej restauracji. Były bliny, kołduny i kwas chlebowy. Jeździliśmy kiedyś do Krakowa, tam podobno mieszkali Szabuniewiczze po opuszczeniu Antonowa, opowiadał Romas. Mieliśmy adres, dzwoniliśmy do drzwi, ale nikt nie otworzył. A tak, Konrad, wy k'nam sami przyjechali! Przyjeżdżajcie kiedy choczicie, pręgaszajem. Przywieź rodzinę. Kaplica już wyremontowana, dzięki NORWAY GRANTS. Pałacu na razie nie ruszymy, *spirit-zawodu* tym bardziej. Ale ogród... gdyby się udało odtworzyć te alejki i kanały... rozmarzył się. Udało mi się samemu trafić do sklepu, kupić dużo rodzajów kwasu – teraz prawie każdy polski płyn spożywczy, uzurpujący sobie nazwę tego

napoju to dla mnie sikacz. Kupiłem też znicz, który zapaliłem przed wejściem do krypty grobowej. Czas nieubłaganie biegł naprzód.

Uprosiłem Litwinów, żeby zostawili mnie przy kaplicy przodków moich, obiecałem, że sobie poradzę. Posiedziałem trochę w ciszy, pomodliłem się. Pogadałem po rosyjsku z lokalnymi ludźmi. Obejrzałem bociana i szczekającego pieska. Wyszedłem do drogi. Nie zdążyłem nawet dobrze wyciągnąć ręki, kiedy na widok sutanny z piskiem opon zaparkował samochód. Ksiądz z pobliskiej parafii zawiózł mnie na sam dworzec autobusowy w Mariampolu. Po ponadgodzinnym zwiedzaniu miasta usiadłem w autobusie docelowo jadącym do Rzymu. Obok mnie było jedyne wolne miejsce. Powoli zaczynało do mnie dochodzić, gdzie ja w ogóle byłem i co robiłem, gdy ruszającemu już autokarowi drogę zajęchała taksówka. Wskoczył z niej żółtoskóry, skośnooki młodzieniec z wielką torbą, podbiegł do drzwi, został wpuszczony, usiadł koło mnie i zaczął mówić po rosyjsku. Z Kirgizji jadę, z Biszkeku. Przez Moskwę. Pociąg mi się spóźnił, taksówkę musiałem wziąć. Strasznie drogo tutaj.

Czy w Europie są jakieś góry?







